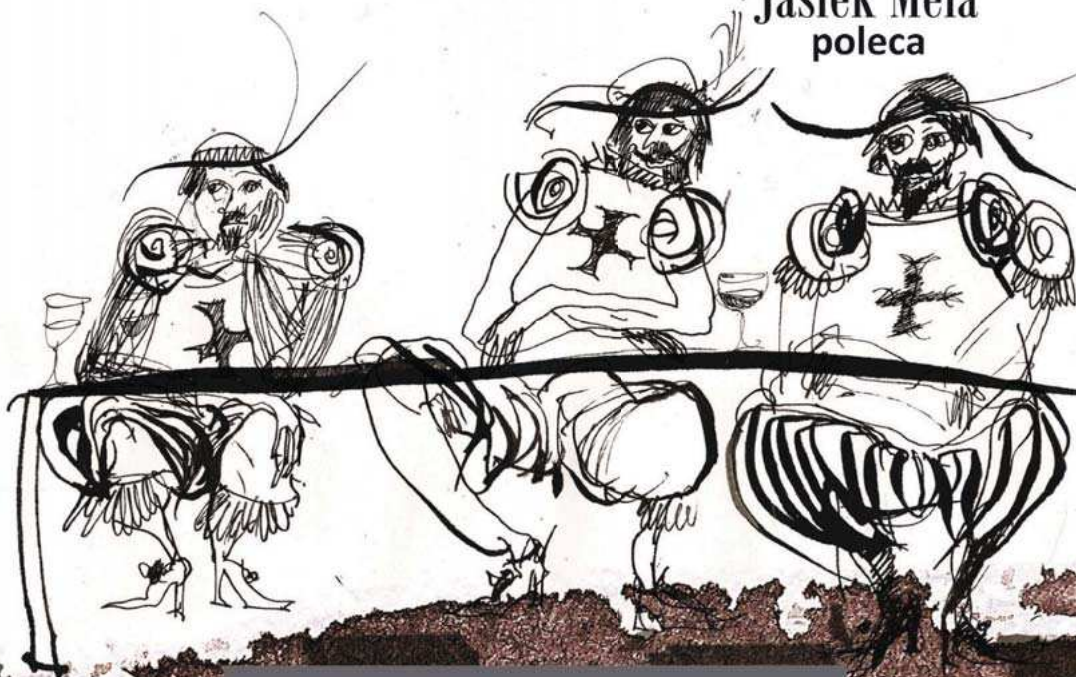


książka do plecaka



Jasiek Mela
poleca



Aleksander Dumas

Trzej muszkieterowie.
Dwadzieścia lat później
tom 2

WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

ALEKSANDER DUMAS

Trzej muszkietierowie Dwadzieścia lat później

Tom 2

ISBN: 978-83-7623-963-7

Wydawnictwo Zielona Sowa
Kraków

Tytuł oryginału
Vingt ans après

Redaktor serii
Iwona Misiak

Korekta
Katarzyna Kierejsza

Ilustracja na okładce
Edyta Stajniak

Układ typograficzny i projekt okładki
Piotr Hrehorowicz

Skład i łamanie
Inter Line s.c.

© Copyright by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., 2009

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
30-404 Kraków, ul Cegielniana 4A
tel./fax (012) 266-62-94
tel. (012) 266-62-92
www.zielonasowa.pl
wydawnictwo@zielonasowa.pl

Podczas gdy u lorda de Winter rozgrywała się owa straszna scena, Atos, siedząc w swoim pokoju przy oknie, z łokciem wspartym na stole, a głową – na dłoni, chłonał słuchem i wzrokiem opowiadanie Raula o jego przygodach w czasie podróży i szczegółach bitwy.

Piękne i szlachetne oblicze słuchającego wyrażało niewysłowione szczęście, wywołane opowiadaniem o niedawnych przeżyciach; jak harmonijną muzyką rozkoszował się tym głosem chłopięcym, nabrzmiałym wzniosłymi uczuciami. Zapomniał o ponurych wydarzeniach przeszłości i swojej mglistej przyszłości. Rzecz by można, iż powrót ukochanego dziecka zdołał zamienić jego obawy w nadzieję. Atos czuł się szczęśliwy, szczęśliwy jak nigdy.

– Brałeś więc udział w tej bitwie, de Bragelonne? – zapytał były muszkieter.

– Tak, panie.

– I była nie lada, powiadasz?

– Książę osobiście przypuszczał atak jedenaście razy.

– Wielki z niego wojownik, de Bragelonne!

– To bohater, panie! Ani na chwilę nie straciłem go z oczu. O! Jakże godnie nosił swe imię Kondeusza!

– Spokojny, a świetny, nieprawdaż?

– Spokojny jak na paradzie, świetny jak w czasie uczt. Gdy zbliżaliśmy się do nieprzyjaciela, jechaliśmy stępą; zabroniono nam pierwszym strzelać i szliśmy tak prosto na Hiszpanów, którzy stali na wzgórzu z muszkietami przy nogach. Gdy byliśmy już od nich na trzydzieści kroków, książę odwrócił się do żołnierzy, mówiąc: „Dzieci! Przyjdzie wam wytrzymać okrutny ogień, ale potem, bądźcie spokojni, nie sprawią wam już kłopotu!”. Taka

cisza nastąpiła, iż obydwie strony słyszały te słowa. Potem, wznosząc szpadę do góry, zawołał: „Uderzcie w trąby!”

– Przepysznie! Ale i ty byś tak zrobił, Raulu, prawda?

– Nie jestem pewny, panie, bo mi się to wydaje zbyt piękne i wielkie. Gdy byliśmy już o dwadzieścia kroków, ujrzeliśmy wszystkie te muszkiety zwrócone ku nam jedną błyszczącą linią, gdyż słońce odbijało się w lufach. „Naprzód! Dzieci, naprzód! – zakomenderował książę. – Nadeszła już pora”.

– Bałeś się, Raulu? – zapytał hrabia.

– Tak, panie – odparł naiwnie młodzieniec – poczułem dziwny chłód w sercu, a kiedy rozległ się w szeregach nieprzyjacielskich okrzyk: „Ognia!”, przymknąłem oczy i pomyślałem o tobie!

– Doprawdy, Raulu? – zapytał Atos, ściskając mu rękę.

– Tak, panie. Naraz rozległ się taki huk, jak gdyby piekło się rozwarło, a ci, co pozostali przy życiu, czuli gorący oddech wystrzałów. Otworzyłem oczy ze zdziwieniem, że nie zostałem zabity lub co najmniej raniony. Jedna trzecia oddziału leżała na ziemi poszarpana i skrwawiona. Wtem spotkałem spojrzenie księcia; zapomniałem naraz o wszystkim prócz tego, że on patrzy na mnie. Spiałem konia ostrogami i znalazłem się pośród nieprzyjacielskich szeregów.

– A książę był z ciebie zadowolony?

– Tak mi przynajmniej powiedział, polecając towarzyszyć do Paryża panu de Châtillon, który został wysłany z wieścią i zdobytymi sztandarami do królowej. I przybyłem, panie – dodał Raul, patrząc na hrabiego z uśmiechem głębokiego przywiązania – ponieważ sądziłem, że uraduje cię mój widok.

Atos przyciągnął młodzieńca ku sobie i ucałował w czoło, jak gdyby był młodym dziewczątkiem.

– A zatem, Raulu, twoja kariera rozpoczęta. Książęta są twymi przyjaciółmi, marszałek Francji ojcem chrzestnym, za wodza masz księcia krwi, a w pierwszym dniu po powrocie zostałeś przyjęty przez dwie królowe; to bardzo pięknie jak na nowicjusza.

– A! Panie – nagle odezwał się Raul – przypomniałeś mi jedną rzecz, która wypadła mi z pamięci, tak mi pilno było opowiedzieć ci o mojej wyprawie. U Jej Królewskiej Mości, królowej Anglii, zastałem jakiegoś dostojnego pana, który, gdy twoje wymówiłem nazwisko, krzyknął ze zdziwienia i radości. Nazwał się twoim

przyjacielem, zapytał mnie o adres i przyjdzie niebawem cię odwiedzić. Po akcencie poznałem, że musi być Anglikiem.

– Hm! – zastanowił się Atos.

I pochylił głowę, jakby szukając w dawnych wspomnieniach.

Kiedy znów podniósł czoło, wzrok jego padł na mężczyznę stojącego w uchylonych drzwiach, który przypatrywał mu się z rozrzewnieniem.

– Lord de Winter! – wykrzyknął hrabia.

– Atosie, przyjacielu mój!

Rzucili się sobie w ramiona. Atos, ujawszy jego obie ręce, rzekł, przypatrując się mu uważnie:

– Co ci jest, milordzie? Wydajesz mi się smutny!

– To prawda, mój przyjacielu. Więcej ci jeszcze opowiem, widok twój podwaja moje obawy.

De Winter rozejrzał się wokół. Raul zrozumiał, że dwaj przyjaciele chcą pomówić ze sobą na osobności, wymknął się więc dyskretnie z komnaty.

– A teraz, skoro jesteśmy sami – rzekł Atos – pomówmy o tobie, milordzie.

– Dopóki jesteśmy sami, pomówmy o nas – odparł de Winter. – On jest tutaj...

– Kto?

– Syn Milady.

Na dźwięk tych słów Atos zmarszczył brwi i rzekł spokojnym głosem:

– Wiem o tym.

– Wiesz?

– Tak. Grimaud spotkał go pomiędzy Béthune a Arras i co tchu powrócił, aby uprzedzić mnie o tym.

– Więc Grimaud znał go?

– Nie, lecz był przy łożu śmierci człowieka, który go znał.

– Kata z Béthune! – wykrzyknął de Winter.

– Wiesz o tym, milordzie? – zapytał zdziwiony Atos.

– Syn Milady rozstał się ze mną przed chwilą – odparł de Winter – i wszystko mi opowiedział. Ach! Co za straszna scena! Czemuż razem z matką nie zdusiliśmy dziecięcia!

– Czego się lękasz, milordzie? – zapytał Atos. – Wszak wszyscy możemy się bronić. Czyż ten młody człowiek stał się mordercą

z rozmysłu? Mógł on zabić kata z Béthune pod wpływem uniesienia, lecz obecnie wściekłość jego została nasyciona.

De Winter ze smutnym uśmiechem potrząsnął głową.

– Zapomniałeś, że on ma to we krwi? – rzekł.

– Ach! – odparł Atos, siląc się także na uśmiech. – Wściekłość straciła na mocy w drugim pokoleniu. Wreszcie, wierz mi, przyjacielu, Opatrzność daje nam przestrożę, abyśmy mieli się na baczności. Pozostaje nam tylko czekać. Czekajmy więc. Lecz wracam do swego... pomówmy o tobie. Cóż cię sprowadza do Paryża?

– Pewne bardzo ważne sprawy... Ale coż to słyszałem u królowej angielskiej? Pan d'Artagnan służy Mazariniemu? Przyjacielu! Wybacz moją otwartość, nie zarzucam nic kardynałowi ani nie czuję do niego nienawiści, a przekonania twoje nie przestaną być dla mnie święte. Byłżebyś i ty po stronie tego człowieka?

– Pan d'Artagnan jest na służbie – rzekł Atos – posłuszny więc jest ustanowionej władzy. Nie jest bogaty, a stopień porucznika potrzebny mu jest do życia. Tacy milionerzy jak ty rzadko się we Francji trafiają.

– Niestety! – rzekł de Winter z westchnieniem. – Dziś jestem uboższy od niego. Ale powróćmy do ciebie, hrabio.

– Chcesz zatem wiedzieć, czy jestem stronnikiem Mazariniego? Nie, po tysiąc razy nie.

– Dzięki ci, hrabio, dzięki za szczęśliwą nowinę. Czuję się pocieszony i odmłodzony. Ach! Nie jesteś więc mazarinistą! Wybornie! Lecz wybac mi jeszcze: czy jesteś wolny?

– Co przez to rozumiesz?

– Pytam, czy nie jesteś żonaty.

– A! Co to, to nie – odparł z uśmiechem Atos.

– Bo widzisz, ten młodzieniec, taki piękny, gładki i miły...

– To jest dziecko, które wychowuję... nie zna on nawet swego ojca.

– Zawsześ taki sam, Atosie, wspaniałomyślny i szlachetny.

– Słucham, milordzie, czego żądasz ode mnie?

– Czy twoja przyjaźń z panami Portosem i Aramisem trwa jeszcze?

– Milordzie, dodaj jeszcze i d'Artagnana. Dziś, jak dawniej, jesteśmy czterema wiernymi przyjaciółmi, lecz gdy idzie o pomoc kardynałowi lub walkę przeciw niemu, czyli o to, ażeby być mazarinistą lub frondystą, dwóch nas jest tylko.

– Czy Aramis jest z d'Artagnanem? – zagadnął lord de Winter.

– Nie – odparł Atos – pan Aramis zaszczyca mnie podzieleniem moich przekonaniań.

– A mógłbyś, hrabio, odnowić naszą znajomość z tym przyjacielem tak miłym i dowcipnym?

– Bez wątpienia, skoro ci to może sprawić przyjemność.

– Czy zaszła w nim jakaś zmiana?

– Przywdział suknię duchowną, tylko tyle.

– Przerażasz mnie. Stan duchowny zmusza go zatem do wyrzeczenia się wszelkich przedsięwzięć.

– Przeciwnie – rzekł Atos z uśmiechem – dziś jest on muszkietierem bardziej niż kiedykolwiek! Może chcesz, milordzie, bym posłał po niego Raula?

– Nie, hrabio, dziękuję! Lecz jeżeli z takim przekonaniem ręczysz za niego, czy możesz przyprowadzić mi go jutro o dziesiątej na most nieopodal Luwru?

– A! Masz pojedynek – rzekł z uśmiechem Atos.

– Tak, hrabio, jeden z najpiękniejszych, pojedynek, przed którym i ty się nie zawahasz, jak sądzę.

– Dokąd pójdziemy stamtąd, milordzie?

– Do jej wysokości królowej Anglii, która poleciła mi, by was jej przedstawić.

– Więc jej wysokość mnie zna?

– Ja cię znam, hrabio.

– Ot, zagadka – rzekł Atos – lecz mniejsza z tym. Skoro ty posiadasz jej rozwiązanie, to mi zupełnie wystarcza. Milordzie, czy zrobisz mi zaszczyt pozostania u mnie na kolacji?

– Dziękuję, hrabio, muszę się przyznać, że odwiedziny tego młodego człowieka odjęły mi apetyt i prawdopodobnie pozbawią mnie snu. Co on tu robi w Paryżu? Wszak nie przybył, by spotkać się ze mną, bo o mojej podróży nie wiedział. Hrabio, ten człowiek przeraża mnie. Nosi w sobie krwiożercze zamysły.

– Co on robi w Anglii?

– Jest stronnikiem i najwierniejszym człowiekiem Olivera Cromwella.

– Cóż mogło zjednoczyć go z tą sprawą? Sądzę, iż matka jego i ojciec byli katolikami.

– Nienawiść przeciw królowi, który ogłosił, że pochodzi z nieprawego łoża, odsądził go od majątku i zabronił nosić nazwisko de Winter.

– A teraz jak się nazywa?

– Mordaunt.

– Purytanin, a przebrany za mnicha sam jeden podróżował po gościńcach Francji.

– Za mnicha, powiadasz pan?

– Nie wiedziałeś o tym? W ten sposób usłyszał on spowiedź kata z Béthune.

– Teraz wszystko rozumiem: przybył tu, wysłany przez Cromwella do Mazariniego. Słusznie twierdziła królowa, że uprzedzono nas; obecnie i ja to pojmuję. Żegnaj, hrabio, do jutra.

– Hola! Olivain, Grimaud, Blaisois, zabrać muszkiety i wezwać pana wicehrabiego.

W pięć minut po wydaniu rozkazu wszedł Raul.

– Wicehrabio – rzekł Atos – odprowadzisz milorda z eskortą aż do jego mieszkania i nikomu nie pozwolisz zbliżyć się do niego.

– Ach, hrabio! – zawołał de Winter. – Za kogóż mnie bierzesz?

– Za cudzoziemca, który nie zna Paryża i któremu wicehrabia pokaże drogę.

De Winter uściśnął mu rękę w odpowiedzi.

– Grimaud, trzymaj się na czele eskorty i bacz na mnicha!

Grimaud zadrżał, skinął głową i czekał na odmarsz, gładząc w wymownym milczeniu kolbę swojego muszkietu.

Mały poczet wyruszył ku ulicy Saint Louis. De Winter i Raul rozmawiali, jadąc obok siebie. Grimaud, stosując się do rozkazu Atosa, postępował na czele orszaku z pochodnią w jednej, a muszkietem w drugiej ręce; przybywszy przed dom de Wintera, uderzył pięścią we drzwi, a kiedy je otworzono, w milczeniu pożegnał milorda.

Powrót odbył się w tym samym porządku: przenikliwe oko Grimauda nie dostrzegło nic podejrzanego, prócz niewyraźnego cienia, zaczajonego na rogu ulicy Guénégaud, a zdawało mu się, iż gdy jechano w tamtą stronę, ten sam człowiek wpadł mu już w oko. Podjechał ku niemu, lecz cień zniknął szybko w ciemnym zaułku, dokąd roztropny Grimaud wolał się już nie zapuszczać.

Nazajutrz, skoro tylko hrabia otworzył oczy ze snu, ujrzał Raula siedzącego przy łóżku.

Był już zupełnie ubrany i czytał książkę pana Chapelaina, która właśnie świeżo się ukazała.

- Wstałeś już, Raulu?
– Tak, panie! Źle spałem tej nocy.
– Ty, Raulu?! Ty źle spałeś?! Widocznie nabiłeś sobie czymś głowę?! – pytał Atos.
– Panie! Powiesz, iż pilno mi cię pożegnać, skoro zaledwie przybyłem, lecz...
– Czyż nie dostałeś nawet dwudniowego urlopu?
– Przeciwnie, panie, dano mi go na dziesięć dni; zresztą, wcale nie chciałbym wracać do obozu. Pragnąłbym jedynie spędzić chociaż jeden dzień w Blois. Nie śmieję się ze mnie, panie.
– Wcale nie – mówił Atos, tłumiąc westchnienie – nie śmieję się, wicehrabio. Pragniesz odwiedzić Blois, rzecz bardzo prosta!
– A zatem pozwalasz mi, panie? – wykrzyknął uradowany Raul.
– Z wszelką pewnością, Raulu.
– Panie! Powiedz mi z ręką na sercu, czy się wcale nie gniewasz?

Atos wyciągnął doń ramiona.

– Mogę więc zaraz jechać?

– Kiedy zechcesz, Raulu.

Młodzieniec zerwał się, by wybiec.

– Panie! – rzekł jednak, zatrzymując się. – Myślałem sobie właśnie, iż księżnej de Chevreuse i jej dobroci dla mnie zawdzięczam dostanie się do otoczenia jego książęcej mości.

– I że winien jesteś jej podziękowanie, wszak tak, Raulu?

– Tak mi się zdaje, panie; zrobię jednakże, jak każesz.

– Przejeżdżając około pałacu de Luynes, zatrzymaj się i każ zapytać, czy księżna może cię przyjąć. Cieszy mnie, iż nie zapominasz o konwenansach*. Weź ze sobą Grimauda i Olivaina.

Patrząc za odchodzącym i słysząc jego radośnie rozbrzmiewający głos nawołujący służących, Atos westchnął.

– Pilno mu rozstać się ze mną – myślał, potrząsając głową – lecz idzie za głosem młodości. Właściwością natury jest patrzeć przed siebie. Niewątpliwie on kocha to dziecię; lecz czyż uczucie jego dla mnie straci na sile, gdy innych kochać będzie?

Uszczęśliwienie Raula spędziło chmurę smutku ze szlachetnego czoła Atosa. O dziesiątej wszystko było gotowe do odjazdu.

* Konwenans – ogólnie przyjęte i obowiązujące formy, zwyczaj towarzyskie.

Tymczasem zjawił się lokaj z pokłonem od pani de Chevreuse. Miał przy tym polecenie powiedzieć hrabiemu de la Fère, iż pani dowiedziała się o powrocie jego protegowanego oraz o jego odznaczeniu się w bitwie i że bardzo by jej było miło powinszować mu osobiście.

– Powiedz księżnej – odpowiedział Atos – że wicehrabia siada właśnie na konia, aby udać się do pałacu de Luynes.

I powtórzywszy raz jeszcze przestrogi Grimaudowi, skinął ręką Raulowi na znak, że może wyruszać. Po chwili zastanowienia przyszło Atosowi na myśl, iż może dobrze się stało, że Raul oddalił się z Paryża w tym czasie.

Tegoż dnia raniutko Atos wysłał Blaisois, jedynego pachołka, który mu pozostał, z listem do Aramisa.

Punktualnie o dziesiątej Atos czekał na moście nieopodal Luwru. Niebawem ujrzał nadchodzącego lorda de Winter. Upłynęło dziesięć minut. Milorda poczęła zdejmować obawa, że Aramis nie przyjdzie.

– Cierpliwości – odezwał się Atos – widzę właśnie duchownego, który dał kuksańca jakiemuś mężczyźnie, a w tej chwili wita uprzejmie damę, musi to być Aramis.

On to był w istocie. Uderzeniem pięści odtrącił o dziesięć kroków mieszczanina, który zagapiwszy się, obryzgał go błotem. Jednocześnie przechodziła jedna z jego penitentek, a że była młoda i ładna, powitał ją najwdzięczniejszym ze swoich uśmiechów. Po chwili był przy nich. Łatwo sobie wyobrazić uściski, jakie towarzyszyły powitaniu jego z lordem de Winter.

– Dokąd idziemy? – odezwał się Aramis. – Biją się może gdzie, *sacrebbeu**! A ja nie mam szabli przy sobie dzisiaj, muszę zająć po nią do domu.

– Nie – odparł de Winter – złożymy wizytę Jej Królewskiej Mości, królowej Anglii.

– A! Bardzo dobrze – rzekł Aramis. – Ale w jakim celu? – ciągnął dalej, pochylając się do ucha Atosa.

– Daję słowo, że nie wiem; może żądają od nas jakiego zeznania.

– Miałożby to jakiś związek z tą przeklętą sprawą? – zauważył Aramis. – W takim razie nie zależy mi na tym, aby tam iść; ja – odkąd innym daję reprimendy** – sam ich odbierać nie lubię.

* *Sacrebbeu* (fr.) – psiakrew, psiakość.

** Reprimenda (z łac.) – przest.: nagana, bura, upomnienie.

– Gdyby tak miało być – odpowiedział Atos – nie bylibyśmy prowadzeni przez lorda de Winter, i jemu bowiem oberwałoby się... wszak z nami trzymał.

– A! Prawda. Więc chodźmy.

Przybywszy do Luwru, zauważyli straszliwe ubóstwo tej siedziby, którą skąpe miłosierdzie przeznaczyło nieszczęśliwej królowej. Wielkie sale bez sprzętów, odrapane mury, świecące gdzieś niedługo resztkami złocień, które oparły się zniszczeniu, okna niedomykające się i pozbawione miejscami szyb. Ani kobierców, ani służby, ani straży.

– Mazarini ma lepsze mieszkanie – zauważył Aramis.

– On jest nieledwie królem, a pani Henrieta nie jest już prawie królową.

Widocznie królowa oczekiwała ich z niecierpliwością, gdyż usłyszawszy kroki w sali poprzedzającej jej pokój, postąpiła ku drzwiom na spotkanie.

– Witajcie, panowie, wejdźcie, proszę – rzekła.

Weszli i zatrzymali się, stojąc, lecz na skinienie królowej, aby usiedli, Atos pierwszy dał przykład posłuszeństwa. Poważny był i spokojny, Aramis zaś wściekły; doprowadzała go do rozpaczki ta królewska nędma.

– Przyglądasz się, panie, mojemu zbytowi – odezwała się królowa Henrieta, wiodąc dokoła smutnym wejrzeniem.

– Pani – rzekł Aramis – raczy mi wasza wysokość przebaczyć, lecz nie jestem w stanie ukryć oburzenia, widząc, iż na dworze francuskim obchodzą się w ten sposób z córką Henryka IV.

– Ten pan nie jest rycerzem? – zapytała lorda de Winter królowa.

– Ten pan to opat d’Herblay – odpowiedział tenże.

Aramis się zaczerwienił.

– Pani – rzekł – co prawda jestem opatem, lecz wbrew mojej woli; nigdy nie miałem powołania do pelerynki, a sutanna zaledwie na jednym guziku trzyma się na mnie teraz i gotów jestem w każdej chwili zostać na nowo muszkietierem. Dzisiaj, ponieważ nie wiedziałem, iż spotka mnie zaszczyt widzenia waszej wysokości, przybrałem się w tę suknię, lecz niemniej jestem człowiekiem, w którym wasza wysokość znajdzie najwierniejszego sługę, gotowego na wszelkie jej rozkazy.

– Kawaler d’Herblay – przerwał de Winter – jest jednym z owych najdzielniejszych muszkieterów króla Ludwika XIII, o których wspomniałem ci, pani. Co zaś do tego pana – ciągnął dalej, wskazując na Atosa – jest to ów szlachetny hrabia de la Fère, którego świetna reputacja znana jest waszej wysokości.

– Panowie – odezwała się królowa – kilka lat temu otoczona byłam szlachtą, skarbami, wojskiem. Na jedno skinienie ręki – wszystko to było na moje usługi. Dzisiaj do spełnienia zamiaru, który stanowić ma o ocaleniu mojego życia, pozostaje mi jeden lord de Winter, przyjaciel od lat dwudziestu, i wy, panowie, których widzę po raz pierwszy, a znam tylko jako moich współziomków.

– To dostateczne, pani – odezwał się z głębokim ukłonem Atos – jeżeli życie twoje trzech ludzi może okupić.

– Dzięki wam, panowie. Król, mój małżonek, wiedzie bolesny żywot w Anglii... Patrzcie, oto list, który mi przesyła przez lorda de Winter. Czytajcie.

Atos i Aramis poczęli się wymawiać.

– Czytajcie – nalegała królowa.

Atos przeczytał głośno list, który znamy, a w którym król Karol zapytywał, czy będzie mu udzielona gościna we Francji.

– Otóż – rzekła królowa – odmówił.

Dwaj przyjaciele zamienili wżgardliwy uśmiech.

– A teraz, pani, co począć? – odezwał się Atos.

– Macież współczucie dla tego nadmiaru nieszczęścia? – rzekła wzruszona królowa.

– Miałem zaszczyt pytać waszą wysokość, czego żąda, abyśmy, pan d’Herblay i ja, uczynili dla niej; czekamy tylko rozkazu.

– O! Panie, masz szlachetne serce! – zawołała królowa z wybuchem wdzięczności. – A pan? – zapytała Aramisa.

– Pani – odrzekł tenże – wszędzie, gdzie hrabia idzie, choćby na śmierć, to i ja z nim idę, nie pytając dlaczego; lecz kiedy chodzi o usłużenie waszej wysokości – dodał, spoglądając na królową – wtedy wyprzedzam hrabiego.

– A zatem, skoro tak, panowie – mówiła królowa – oto, co uczynić dla mnie zda się. Król sam jeden jest z kilku osobami szlachty, których lada dzień obawia się utracić, pośród Szkotów, którym nie dowierza, jakkolwiek sam jest Szkotem. Odkąd lord de Winter rozstał się z nim, umieram z obawy. Otóż może nie mam prawa